Przysyłka pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 25 groszy

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy" Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II. WARSZAWA, DNIA 11 PAŹDZIERNIKA 1924. Nr 57.

W błędnem kole.

II.

Rząd obecny otrzymał po swoich poprzednikach niewesołe dziedzictwo. Anarchja na Kresach to jedna cząstka tego spadku. Spadek to był naogół rozpaczliwy — pracowały nań od samego początku: egoizm, krótkowzroczność i wszystkie stare wady niby to nowej Polski. Ach jak ta „nowa Polska", na której cześć tyle kłamliwych dytyrambów wygłasza się przy byle okazji, bliźniaczo przypomina schyłek Polski upadającej, starej. Niema dziś tylko sprzedajności, zresztą jest wszystko jak pod koniec XVIII-go wieku: i orjentacje polityczne, każda w inną zezująca stronę, i wodzące się za łeb sejmowe stronnictwa i egoizm klasowy, i obskurantyzm polityczny i nietolerancja... Nic nie wierzmy owym pochlebcom narodowym, basującym zadowolonej z siebie tłuszczy. W Polsce jest bardzo źle i to odbiło się między innemi rzecz prosta i na naszym stosunku do ziem wschodnich.

Z kotła przepełnionego sobkostwem i złością, z kotła aż kipiącego od waśni wzajemnej, braku etyki osobistej i politycznej jednocześnie — wylewały się i płynęły ku Kresom fusy i pomyje, których potok zrzadka usiłował powstrzymać jakiś wysiłek mądry, szlachetny i celowy. Ale wysiłek ten był łamany u podstaw. Ktokolwiek nawoływał do zmiany polityki narodowościowej, ktokolwiek piętnował popełniane błędy, ktokolwiek przepowiadał ich wynik fatalny — był z góry odsądzany od czci i wiary i ogłaszany jako szkodliwy warchoł, na-

ruszający obowiązującą jakoby specjalnie na terenach o ludności mieszanej t. zw. solidarność narodową. Pod solidarnością narodową zaś w jakiejkolwiek formie rozumie się zawsze poddanie się bez szemrań i oporu endeckiej komendzie. Rozbrzmiewała więc owa komenda na Kresach bezustanku i stała na straży każdego zrobionego tam kroku. Niwelowała, centralizowała, rządziła, bałamuciła.

Protestowała przeciwko wszystkiemu, coby mogło zapachnieć liberalizmem. Zamykała szkoły litewskie, białoruskie lub domagała się ich zamykania, szykanowała żydów, kasowała cerkwie i przerabiała je znów gwałtowie na kościoły, zabierała grunta duchownym prawosławnym, nasyłała działaczy „niezachwianych przekonań", oczywiście nacjonalistów, pilnowała by nie uczyniono nic takiego, coby pośród mniejszości narodowych mogło przypadkiem zjednać trochę życzliwości dla Polski.

Rozendeczony łyk wileński, agitowany stale, był jedynem nieledwie źródłem, z którego płynęła tak zwana opinja narodowa, przeciwstawiająca się zarówno na miejscu jak w Warszawie każdemu zarządzeniu, jeśli próbowało uwzględnić swoisty charakter i odrębności Kresów. Że to jest świat do reszty ziem Rzeczypospolitej bynajmniej niepodobny — tego nie wolno było brać w rachubę. Który z zarządów chciał się rozumnie liczyć z fizjognomją specjalną i odmiennym składem narodowościowym Kresów — natychmiast stawał się przedmiotem głośnej albo cichej intrygi. Na mianowanie na stanowiska administracyjne na Kresach ludzi, mających o rządzeniu pojęcia współczesne, klan endecki nie pozwalał nigdy. Przez wojewodów, starostów, komendantów, referentów, księży panowała też w tych dzielnicach bezapelacyjnie „ósemka", kto nie należał do niej musiał jej słuchać, albo milczeć, inaczej szybko z nimi dawano sobie radę w Wilnie.

Jeden jedyny Rydz-Śmigły, z ideologją reakcyjną nic nie mający wspólnego, był i pozostał solą w oku nacjonalistom i wstecznikom polskim. Na szczęście jest generałem, więc go zgryźć jakoś dotychczas nie mogli. Z cywilnymi funkcjonarjuszami państwowymi załatwiano się naogół szybko. Dochowano się też kolekcji urzędników kresowych pierwszorzędnej. Urzędników tych demoralizowały zresztą nietylko podszepty reakcyjne, demoralizowała ich nędza i warunki życia opłakane, w których naprawdę trudno było istnieć. Kto tam miał głowę do myślenia, jeśli nie było często co dać jeść rodzinie i gdzie mieszkać!... Takim zaś z reguły był los większości słanych tam niższych urzędników i nauczycieli. Przysyłano ich Bóg wie skąd i Bóg wie poco... Czuli się tam jak na Syberji i jak na Syberji gospodarowali przeważnie. Skutki tej gospodarki narastały powoli.

Wyraziły się one sumarycznie w jednem, że na Kresach życie stało się wprost nieznośne. Nieznośne nawet dla uprzy-

wilejowanych, tych których chciano otoczyć szczególną opieką. I nic dziwnego — wyziewy bagna dają się odczuwać wszystkim oddychającym niemi. A stosunki kresowe stopniowo zabagniły się jaknajzupełniej. Objawy rozkładu poczęły występować co raz ostrzej. Jednym z nich stał się sławny dziś masowy bandytyzm. Propagują go i podsycają bolszewicy sowieccy — to prawda. Ale proszę powiedzieć, czy w kraju, gdzieby ludzie czuli się jako tako znośnie, łatwo byłoby znajdować setkami wprost chętnych kandydatów na bandytów... Nie wiele musi mieć do stracenia człowiek stawiający na kartę za bylejaką zapłatę cały byt i życie. Jednak straceńców takich dostarczają Kresy bez liku. Setki rabują i rozbijają po drogach, napadają na dwory, miasta i pociągi, a tysiące współczują temu i niewątpliwie ukrywają bandytów.

Nienawiść do nas Moskwy i propaganda komunizmu pierwszorzędną w tem odgrywa rolę, i o tem trzeba mówić znacznie więcej, niż się mówi dotychczas całemu cywilizowanemu światu, by mu odebrać co do Rosji wszelkie złudzenia. Lecz czyż mógłby bolszewizm liczyć na takie swej agitacji powodzenie, gdyby psychika ludności kresowej nie została już wprzód spreparowana odpowiednio, gdyby warunki życia tych prymitywnych mas były znośniejsze, gdyby drogę jakąkolwiek choć do ich myśli i duszy znalazła mądrość polityczna polska. Ale ona w ciągu lat trzech nie próbowała tego nawet. Dopiero Grabski, oczywiście Władysław, stanąwszy na czele rządu, spojrzał ochydzie kresowej w twarz z tą samą uczciwością, z jaką spojrzał w twarz ochydzie finansowej.

Niestety mógł on wprowadzić nowy pieniądz, ale nie mógł ani zwalczyć drożyzny, ani uzdrowić stosunków na wschodzie państwa, chociaż jednego i drugiego pragnął. Lecz zło, mające źródło w chorobach trawiących naród cały, do usunięcia jest zbyt trudne. Nowego sumienia ekonomicznego, społecznego i politycznego żaden rząd włożyć w piersi ogółowi nie może. Tu wszelkie próby doraźnego działania zawiodą, choćby wydano przepisy jaknajlepsze. Tak więc długo jeszcze i fabrykant i kupiec i chłop zbogacony będzie obdzierał resztę Polski, i długo nikt nie potrafi cudu dokonać na Kresach. Nikt... nawet generał-wojewodowie i nawet ustawy językowe uchwalone niedawno.

Nowe ustawy będzie paczył duch dawny, pokutujący po staremu w sferach mających największe wpływy w Polsce i ich też rady, skargi, poprawki i żądania kierować będą, siłą rzeczy, czynami mężnych wojowników, zamienionych dość niespodzianie w wielkorządców. Nie mówiąc o tem już, że wielkorządcy ci będą mieli dawny aparat urzędniczy, dawne budżety, dawne poglądy na lud białoruski, dawny antysemityzm, dawny klerykalizm i dawne lokalne konflikty gospodarczo-społeczne, wobec czego w gruncie rzeczy będą bezbronni. Pozo-

stanie im istotnie możność staczania walk z nadgranicznemi bandami, zadanie ani sławne, ani samo przez się do zmiany stanu rzeczy wystarczyć mogące.

I na Kresach lepiej nie będzie. Bowiem sprawa to przegrana w samem założeniu. Koncepcyjnie, politycznie, moralnie trzeba się cofnąć, pragnąc w niej coś naprawić zasadniczo, do dziewiętnastego i dwudziestego roku i rozważyć raz jeszcze wszystkie wówczas istniejące problemy. I trzeba mieć odwagę poddać rewizji wszystko, co się zrobiło od tego czasu, wykonywując program inkorporacji absolutnej, program prosty—bo głupi, zamaszysty—bo lekkomyślny niesłychanie. Do spraw kresowych przystąpić należy z inną myślą i oddać je w ręce innych ludzi. Ludzie ci musieliby mieć prawo własnej wiary politycznej i własnej inicjatywy. Ale tacy jedynie polityce kresowej naszej mogliby nadać cechę, jaką przedewszystkiem mieć powinna—twórczości.

Pod tym względem jednakże nikt chyba nie ma złudzeń. Że ludzie tacy znaleźliby się w Polsce—to pewne. Ale przecież nietylko do czynu ale nawet do głosu w teraźniejszej sytuacji wewnętrznej dopuszczeni nie będą. Wprzód by się musiało zmienić śród nas zbyt wiele, wprzód by się musiał ocknąć duch Polski omdlały dziś, jałowy i bezradny. Sanacja spraw kresowych iluzoryczną będzie, jak długo Polska będzie we wnętrzu swojem chora, jak długo w życiu jej nie wezmą góry elementy reformy, zdrowia i postępu. Do ich zwycięstwa i położenia kresu wszechstronnej reakcji sprowadza się też każde państwowe zagadnienie, w dzisiejszych warunkach nie do rozwiązania. Takiem jest i problem kresowy w całej pełni. Najprzód trzeba zrobić porządek w Warszawie, Krakowie i Poznaniu, a potem dopiero... zrobi on się już sam w Wilnie, w Łucku, w Nowogródku.

***

Metamorfozy poglądu gen. Sikorskiego na organizację najwyższych władz wojskowych.

By szeroka opinja publiczna mogła wziąć żywy udział bliskich obradach Sejmu nad zagadnieniem tak niezmiernie ważnem, a tak jej obcem, jakim jest ostateczna i racjonalna organizacja naczelnych władz wojskowych, a więc, wyrażając się jaśniej, organizacja dowodzenia siłą zbrojną państwa w czasie pokoju i wojny—trzeba aby poznała, w zasadniczych przynajmniej konturach, nietylko suchą treść wniesionego do laski marszałkowskiej projektu ustawy, lecz i źródła oraz atmosferę z których wyszła na światło dzienne w godowej szacie projektu prawa.

Musimy się przedewszystkiem zastrzec, że mimo iż ustawa ta ma rzekomo stworzyć podstawy dla wejścia na arenę czynnej pracy wojskowej Marszałka Piłsudskiego, względem którego stosunek nasz jest najzupełniej znany, eliminujemy ze wszelkich nad ustawą rozważań pierwiastek osobowy, trzymając się ściśle gruntu rzeczowego, wynikającego z interesu państwowego ciążącego na barkach armji, gdyby w żywe ciało Rzeczypospolitej miał uderzyć piorun wojny.

A przecież nikt nie może wymagać od nas, byśmy swój pacyfizm mieli posuwać do negacji istotnych niebezpieczeństw dla pokoju, których jednym zamachem nie zdołało usunąć ani nawet zdecydowanie okiełznać wysoce kompetentne i autorytatywne ciało międzynarodowe — Liga Narodów.

Nie chcemy przez to wywołać fałszywego wrażenia, jakobyśmy byli zwolennikami tendencji ustawienia posągu pokoju na fundamencie z systematycznie wzrastającej góry prochu. Nogi jednak nasze trzymają się twardo gruntu rzeczywistości i nic nie skłoni nas do próby zakosztowania rozkoszy zawiśnięcia w przestworzach utopji, z których jedyną drogą powrotu jest droga w przepaść.

Dlatego nie możemy obojętnie ani lekceważąco odnieść się do najważniejszego problemu organizacji armji, objętego ustawą o organizacji jej władz naczelnych, a który sprowadza się do odpowiedzi na pytanie: czy wzniósłszy się ponad atmosferę rywalizacji, aspiracji i koterji osobistych, pchających zawsze jednostki słabsze na tory sprzecznych z sumieniem i Rzeczypospolitej życia interesem kompromisów — damy armji naszej warunki pracy nad jej w potrzebie wojennej zwycięstwem? — czy też ulegając małości ambicyjek ulegniemy czającej się pod osłoną małych i wielkich haseł i sztandarów w mózgach i sercach zbyt wielu Polaków — anarchji, tak tragicznie szydzącej z nas przez setkę omal lat na polach Grochowa i usymbolizowanej do niedawna wbitym jak cierń w serce stolicy pomnikiem kniazia Paskiewicza Erywańskiego.

* * *

W sprawie niniejszej, bardziej niż kiedykolwiek, nie można przystąpić do omawiania projektu ustawy bez poświęcenia uwagi jej autorowi, a to z dwóch przyczyn: po I-sze) sam fakt autorstwa gen. Sikorskiego jest tu szczególnie silnie zaakcentowany, ponieważ jak wiadomo, objąwszy urząd ministra spraw wojskowych wycofał projekt gen. Sosnkowskiego i wniósł własny; po II-gie) projekt wniesiony obecnie przezeń do Sejmu poprzedzony został innym, przed rokiem opracowanym projektem tej samej ustawy, drukowanym wraz z obszerną motywacją w *Bellonie* i oddzielnej odbitce.

Projekt pierwotny opublikowany został w roku ubiegłym, wkrótce po obaleniu przez spółkę Piasta z „ósemką" rządu

gen. Sikorskiego, a jak wolno przypuszczać, przemyślany był uprzednio w murach pałacu Saskiego, a w każdym bądź razie opracowany na podstawie doświadczeń, zdobytych przez autora na stanowisku szefa Sztabu Generalnego. Była to więc praca eksperta, w omawianym przedmiocie szczególnie kompetentnego, praca tem cenniejsza, że bezstronna, bowiem autor w owym czasie, odgrodzony od armji kolczastym drutem niełaski swego następcy w pałacu Namiestnikowskim, spożywał w samotności cierpkie jej owoce.

Nie trudno wobec tego zrozumieć zdziwienie w jakie wprawiło zainteresowane koła wojskowe i polityczne wniesienie w parę miesięcy później, dnia 14 marca 1924, do Sejmu przez ministra spraw wojskowych gen. Sikorskiego ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych zasadniczo różnej od pierwotnego projektu, opracowanego przez eksperta gen. Sikorskiego, kiedy to nie mógł nawet mieć nadziei na objęcie teki ministerjalnej, tem więcej, że sądząc z praktyki jego urzędowania na placu Saskiem, nadawał roli szefa Sztabu Generalnego większe znaczenie niż ministrowi spraw wojskowych i niewątpliwie na to ostatnie stanowisko, przynajmniej do końca ub. r., nie kandydował.

Ważną tedy jest rzeczą zorjentować się w granicach różnicy zdań zachodzącej pomiędzy gen. Sikorskim — ekspertem, b. szefem Sztabu Generalnego, i gen. Sikorskim—ministrem spr. wojsk. w poglądzie na zasady organizacji naczelnych władz, a właściwie dowództwa wojskowego w czasie pokoju, oczywiście, pod kątem widzenia zasadniczego powołania armji — wojny.

Motywując pierwotny projekt, gen. Sikorski — ekspert, omawiając dotychczasową organizację dowództwa, dochodzi do następujących definicji programowych: „Organizacja ta wyprowadzała zatem szkodliwą dla sprawy dwutorowość, wyrażającą się nie tylko *w podwójnej zależności szefa Sztabu Generalnego od ministra i naczelnego wodza*, lecz także w podwójnej, na odrębnych przesłankach opartej, pracy Sztabu Generalnego, którą bym nazwał wojenną i pokojową. *Ta dwutorowość ujawiła się również w uzależnieniu generalnych inspektorów broni od ministra spraw wojskowych, a inspektorów armji od naczelnego wodza.* Wprawdzie do zakresu działania inspektorów broni należy przedewszystkiem fachowe szkolenie taktyczne specjalnych broni; nie mniej przeto nie da się ono oddzielić od funkcji inspektorów armji i dlatego *uzależnianie jednych od ministra, drugich zaś od generała, przewidzianego na naczelnego wodza, byłoby niecelowem*".

Z dwóch ustalonych tutaj zasad: o konieczności zlikwidowania „podwójnej zależności szefa Sztabu Gen." i podporządkowania inspektorów broni generałowi przewidzianemu na naczelnego wodza, a nie, jak chciał projekt gen. Szeptyckiago mini-

strowi spr. wojsk., ta druga jest mniej doniosła i dlatego najpierw zilustrujemy nieporozumienie istniejącego co do niej pomiędzy gen. Sikorskim — ekspertem i gen. Sikorskim — ministrem.

Piewszy, wierny swej tezie, w opracowanej wówczas ustawie rozstrzyga:

Art. 13. Generalny inspektor wojsk *) a) dokonywa stale inspekcji lądowej i powietrznej siły zbrojnej państwa i to w zakresie wojsk, służb i szkół, jużto osobiście, jużto przez inspektorów armji, *generalnych inspektorów broni oraz inspektora szkół, którzy mu bezpośrednio podlegają.*

Gen. Sikorski — minister, tę samą sprawę załatwia wprost odwrotnie, decydując:

Art. 14. (Późniejszej ustawy). *Inspektorowie Broni i Inspektor Szkół podlegają bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych,* a Inspektorowie Armji pośrednio przez Generalnego Inspektora Wojsk, któremu podlegają w jego zakresie działania.

W tym tedy punkcie metamorfoza poglądu gen. Sikorskiego jest zupełna.

Z kolei rozpatrzmy zagadnienie nierównie większej wagi, a mianowicie sytuację szefa Sztabu Generalnego, określoną w obydwu projektach.

Generał Sikorski — ekspert tak określa jego zależność służbową:

Art. 15. (Ustęp II-gi) Szef Sztabu Generalnego podlega bezpośrednio ministrowi spraw wojskowych *za wyjątkiem spraw, związanych z przygotowaniem do wojny, oraz określonych w art. 10 i 11 miniejszej ustawy, co do kórych Szef Sztabu Generalnego podlega ministrowi spraw wojskowych pośrednio — przez generalnego inspektora wojsk.*

Zaś art. 11 wymieniony tutaj (treść 10-ego jest ogólna) stanowi:

Art. 11. Generalny inspektor wojsk nadaje kierunek tym pracom Sztabu Generalnego, które dotyczą przygotowań wojennych i planów operacyjnych, ustalonych ostatecznie przez generalnego inspektora wojsk.

Z powyższego wynika jasno, że w zakresie prac operacyjnych i przygotowawczych do wojny bezpośrednie przełożeństwo nad szefem Sztabu Generalnego należy do generalnego inspektora i sprawy te są tem samem wyłączone z pod kompetencji ministra.

Natomiast gen. Sikorski — minister jest odmiennego w tej materji zdania i ustanawia następujący porządek rzeczy:

Art. 15. Szef Sztabu Generalnego podlega bezpośrednio Ministrowi Spraw Wojskowych. Kieruje on pracami Sztabu Generalnego, podejmując je na podstawie *rozkazów Ministra Spraw Wojskowych, dyrektyw Generalnego Inspektora Wojsk i z własnej inicjatywy.*

---

*) Generalny inspektor wojsk — generał przewidziany na naczelnego wodza.

W tym więc projekcie wyłączone poprzednio z pod kompetencji ministra sprawy „dotyczące przygotowań wojennych i planów operacyjnych“, które miały być „ustalane *ostatecznie* przez generalnego inspektora wojsk“, powracają do rąk ministra, który w ten sposób skupia w swoim ręku całokształt prac wojskowych, pozostawiając generalnemu inspektorowi rolę jakiegoś nieokreślonego doradcy z prawem trudnych do pogodzenia ze słownictwem wojskowem „dyrektyw“, ograniczonych z jednej strony rozkazem ministra, a z drugiej własną inicjatywą szefa Sztabu Generalnego.

W tym miejscu tworzy się jakiś niebywale splątany węzeł sprzeczności i zarodek najzupełniejszej anarchji w pracy dowództwa armji w czasie pokoju, nie mówiąc już zupełnie o wojnie.

Z niesłychaną plastyką narzuca się wyobraźni obraz prac operacyjnych i przygotowawczych do wojny, kierowanych z trzech źródeł inicjatywy: ministra, generalnego inspektora i szefa Sztabu Generalnego.

Jeżeli bowiem ustawa zastrzega inspektorowi prawo udzielania dyrektyw, obok rozkazów ministra, należy rozumieć, że inspektor ma być źródłem tych dyrektyw i że rozkazu ministra w tym względzie nie potrzebuje. Nic prostszego nad możliwość zaistnienia zasadniczej sprzeczności pomiędzy temi dwoma źródłami inicjatywy w sprawach np. prac operacyjnych. Ponadto ustawa wyraźnie zastrzega szefowi Sztabu prawo inicjatywy, co oczywiście nie jest pozbawione głębszego znaczenia. Inicjatywa przecież jest obowiązkiem każdego pracownika państwowego, a szczególnie stojącego na wysokim stanowisku. Wszelako zawsze za tę inicjatywę ponosi odpowiedzialność przełożony, aż do czynnika odpowiedzialnego przed Sejmem czy narodem za całokształt pewnej dziedziny pracy państwowej. Nigdy też ustawa nie odmawia ani nie przyznaje nikomu w drodze wyjątku prawa inicjatywy. W tym więc wypadku kompetencja ta przyznana szefowi Sztabu ma niewątpliwie na celu udzielenie mu pewnej swobody wobec ministra i generalnego inspektora w zakresie prac operacyjnych, i związanych z przygotowaniem do wojny.

W ten tedy sposób ustawa stwarza szerokie pole starć pomiędzy ministrem, generalnym inspektorem i szefem Sztabu Gen., które przy obsadzie tych stanowisk przez ludzi o silniejszych indywidualnościach od gen. St. Hallera mogą doprowadzić do nieobliczalnych konsekwencji.

Scentralizowanie w rękach ministra całokształtu prac Sztabu Generalnego nasuwa ponadto wątpliwość natury czysto fachowej. Nasza konstytucja nie zastrzega przecież teki spraw wojskowych wyłącznie dla generałów—może ją otrzymać osoba cywilna, której stosunek do wojska może się wyrażać w... posiadaniu legitymacji szeregowca rezerwy.

To też gen. Sikorski—ekspert przewidział to znakomicie, jak również i zależność polityczną ministrów. W motywacji bowiem i obronie pierwotnego projektu opracowanej przezeń ustawy czytamy: „Staram się zmiejszyć następstwa zmienności ministrów i zależności ich od takich czy innych ugrupowań politycznych w kraju. Zdaję sobie bowiem aż nadto dobrze sprawę, że jeżeliby skład personalny naszego korpusu oficerskiego, jego stosunek do żołnierza, oraz metody pracy w wojsku, w odniesieniu do doktryny strategicznej i taktycznej miały w czemkolwiek zależeć od przejściowych ugrupowań partyjnych, wówczas zbrojne ramię Rzeczypospolitej musiałoby ulec zagładzie. Posuwanie kontroli parlamentarnej poza niezbędne granice, czyli *uzależnianie prac, związanych z przygotowaniem wojennem, a nawet planów operacyjnych od każdorazowego ministra spraw wojskowych, uważałbym za szkodliwe dla interesów państwa... Istnieje wówczas niebezpieczeństwo zmienności, które dla planów obrony jest zabójcze*".

Gen. Sikorski — minister, nie usunąwszy rzecz prosta niebezpieczeństwa zmienności ministrów i ich zależności od stronnictw politycznych, tak plastycznie zademonstrowanego przez gen. Szeptyckiego, przeszedł do porządku dziennego nad trafnemi i uwagi godnemi wnioskami swego imiennika eksperta.

Dochodził już naszych uszu niejednokrotnie argument, że wniesiona obecnie do Sejmu ustawa gen. Sikorskiego zasługuje na podziw, ponieważ wzorowana jest na organizacji dowództwa armji francnskiej.

Aby nie pozostawić tego, decydującego u wielu polaków, argumentu bez należytego oświetlenia, w najbliższym numerze naszego pisma zapoznamy czytelnika z francuską organizacją władz wojskowych.

Okaże się wówczas, że przerzucanie odpowiedzialności za absurdy domowej roboty na barki obce, jest niczem innem jak robieniem przyjemnego wyrazu twarzy w fałszywej grze.

W. Stpiczyński

Parlament czy oligarchja?

Znana to rzecz, że instytucje polityczne i społeczne są zależne od materjału ludzkiego, jaki w nich istnieje i że psychologja tego materjału zmienia często do niepoznania charakter owych instytucji, wlewając w nie konkretną treść, zgoła sprzeczną z ich założeniami. Mamy sejm, wzorowany na współczesnych parlamentach zachodnich. Formy zewnętrzne są bardzo podobne, niemal te same, a jednak zachodzą między wzorami zagranicznemi a naszem przedstawicielstwem różnice tak istotne, że trudno stosować do niego i do tamtych nazwę jednej i tej samej instytucji.

Duszą parlamentaryzmu europejskiego jest ścisły związek między narodem a jego przedstawicielstwem, między klubami w Izbach a poszczególnemi stronnictwami w kraju. Każdy kryzys parlamentarny, każdy wybór uzupełniający jest miarą wzaiemnego oddziaływania na siebie grup poselskich i opinji publicznej.

Bez tego związku — wyznajemy to otwarcie — parlamentaryzm wydaje się nam jedną z najgłupszych form rządu. Oddawać państwo w ręce zbiorowiska z kilkuset, przy naszej ordynacji, trafem wybranych osobników — to znaczy rzucić je na los przypadku. Jeżeli społeczeństwo chce tonąć w bierności i kwietyzmie, lepiej zrobi, jeżeli przekaże rządy jednemu samowładcy lub zespołowi z niewielu osób...

Cokolwiek jednak możnaby powiedzieć na niekorzyść parlamentaryzmu, dowiódł on swej żywotności i bezwarunkowo okazał się wyższy formą od rządów samowładnych i nawpół samowładnych. Ale, by sprostać swemu zadaniu, musi być rzeczywistym parlamentaryzmem, wciągającym w zakres swego oddziaływania i wymiany myśli cały naród. To też obowiązek ugruntowania tego związku, o jakim mowa, leży przedewszystkiem na samym palamencie, jego stronnictwach i jego przywódcach. Nie wolno im pod żadnym pozorem tolerować bierności społeczeństwa. Oni sami powinni dokładać wszelkich usiłowań, aby parlament był w nieustannym żywym związku ze społeczeństwem, pozostawał centralnym punktem opinji politycznej kraju i ośrodkiem potężnego promieniowania.

Jakże dzieje się u nas?

Już w konstytucji znalazł się artykuł, utrudniajacy niezmiernie rozwiązanie sejmu, a więc odwołanie się do wyborców. Odtąd *de facto* sejm jest opancerzony na lat pięć i pozbawiony możności odnowienia. Klauzula odnośna nie ma nic wspólnego z dotkryną demokratyczną; daje ona szczególny przywilej pięcioletniej nieodwołalności posłom i tem samem uniezależnienia ich i odcina od szerokiego ogółu.

Ordynacja wyborcza obok innych wad i widocznego spaczenia zasady proporcjonalności, ma ten brak kardynalny, że *de facto* usuwa wybory uzupełniające i sprawdzające w ciągu całej kadencji.

A właśnie w ciągu ostatniej sesji zaszło niemało faktów, wymagających owych sprawdzających wyborów w celu rozstrzygnięcia zasadniczych sporów w łonnie stronnictw. Gdy od klubu Witosa oderwał się radykalny odłam z p. Janem Dąbskim na czele, powstała kwestja, do kogo właściwie należy mandat, czy do posła, czy do stronnictwa. Naszem zdaniem rozporządzanie mandatem należy jedynie do wyborców, i w wypadkach secesji klubowych i analogicznych zatargów jedynem godnem ich rozwiązaniem winno być złożenie mandatu i poddanie się ponownemu wyborowi. U nas stoi temu na przeszkodzie sama

ordynacja, ale rzecz widoczna, że wszystkie nasze kluby sejmowe są na tym punkcie związane milczącą solidarnością, aby tego rodzaju sprawy załatwiać w murach sejmu, a broń Boże nie wypuszczać ich na szerokie wody opinji publicznej i agitacji. W ten sposób utrzymuje się ordynacja, która jest anomalją w państwie demokratycznem, która zbliża poniekąd nasz Sejm do Dumy rosyjskiej o tyle, iż zarówno w pierwszym jak i w drugiej wyborca był tym murzynem, który zrobił swoje i szedł precz na całe pięć lat. A poseł cieszył się przez cały ten czas faktyczną nieodpowiedzialnością.

Równolegle wszakże z rozluźnianiem związku pomiędzy klubami poselskiemi, a masą wyborczą idzie proces wzajemnego zbliżania tychże klubów pomiędzy sobą. Kluby lewicowe zbliżyły się do prawicy; różnica pomiędzy grupami rządowemi a pozycją zatarła się niemal zupełnie.

Czy w sejmie obecnym może być na serjo mowa o walce politycznej między prawicą a lewicą, pojmowanej nawet w tak ograniczonym zakresie, jak to miało miejsce w sejmie ustawodawczym? A przecież nie brak chyba spornych przedmiotów, nie brak taże rzeczy w zasadzie przesądzonych i postanowionych, lecz odkładanych *ad calendas graecas*. Niepodobna uwierzyć, iżby kwestja rolna nie interesowała mas bezrolnego i małorolnego chłopstwa, lecz z postawy ich sejmowych przedstawicieli nikt by się tego nie domyślił. Trudno także przypuścić, aby podstawowe zasady wolności obywatelskiej i praworządności konstytucyjnej nikogo w Polsce nie obchodziły, a taka konkluzja zdaje się wynikać z całego zachowania się lewicy sejmowej. Zresztą konstytucja marcowa istnieje u nas, ale tylko dla posłów do sejmu i senatu — jeszcze jedna analogja z „odnowionym ustrojem“ rosyjskim, gdzie według znanego wyrażenia konstytucja mieściła się w murach pałacu Taurydzkiego.

Zwolennicy sielanki politycznej powiedzą, że brak poważnych sporów i starć wśród grup sejmowych jest faktem wysoce dodatnim, gdyż zbliża nas do ideału zgody.

Nie sądzimy jednak, aby sielanka sejmowa odbijała prawdziwy stosunek klas społecznych, tudzież ludności do organów rządowych. Rzekoma zgoda na ulicy Wiejskiej oznacza tylko to, że grupy lewicowe bardzo mało przejmują się potrzebami, skargami i niedolami swych mocodawców.

Natomiast grupy sejmowe tak dobrze z lewicy jak z prawicy, pamiętają doskonale o interesach poselskich i jednoczą się we wspólnej obronie odnośnych prerogatyw. Ich wspólny interes opancerza raz otrzymane mandaty na przeciąg całej kadencji, ten sam interes nie pozwala marzyć, aby sejm zgodził się na dobrowolne rozwiązanie.

W tych warunkach poseł lewicowy patrzy na prawicowego nie tyle jak na przeciwnika politycznego, ile na kolegę, zwią-

zanego z nim pewną wspólnością pozycji i interesów. Podobnie jak tamten, czuje się on nie tyle wysłańcem i bojownikiem swych mocodawców, ile członkiem ciała rządzącego *sui generis* oligarchji, mającej w swem ręku losy kraju.

Oligarcja ta nie jest ani przedstawicielstwem narodowem ani rządem, a chce być od czasu do czasu jednem i drugiem. Tworzy ona monstrum polityczne, z którem ani wyrobiony zmysł państwowy ani prosty zdrowy rozsądek pogodzić się nie może.

T. G.

Spór o wykładnię art. 35 Konstytucji.

Spór konstytucyjny pomiędzy Senatem a Sejmem wchodzi w nową fazę. Marszałek Trąmpczyński zaproponował marszałkowi Ratajowi rozstrzygnięcie sporu przez arbitrów z poręki Sądu Najwyższego i Najwyższego Trybunału Administracyjnego.

Warto wobec tego postarać się bezstronnie zanalizować charakter sporu i proponowanego rozwiązania.

Fakty pokrótce są takie. Senat odrzucił en bloc ustawę przez Sejm uchwaloną (o Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie). Sejm zaś uchwalił ją ponownie większością $^{11}/_{20}$ głosów. Sejm uważa w tych warunkach ustawę za uchwaloną i obowiązującą, Senat zaś jest zdania, że ustawa jest odrzucona. Taka kardynalna różnica stanowisk między Sejmem i Senatem tłumaczy się tem, że istotnie odnośny artykuł Konstytucji ma redakcję więcej niż wadliwą i odpowiedzi wprost na zapytanie nie daje. Każde zaś tłumaczenie niejasnego tekstu oczywiście nasuwać może wątpliwości.

Cóż bowiem czytamy w art. 35 Konstytucji w ustępach 2-im i 3-im? „Jeżeli Senat postanowi projekt uchwalony przez Sejm *zmienić lub odrzucić*, powinien zapowiedzieć to Sejmowi w ciągu powyższych 30 dni, a najdalej w ciągu następnych dni 30 zwrócić Sejmowi z proponowanemi zmianami. Jeżeli Sejm zmiany przez Senat proponowane, uchwali zwykłą większością głosów, albo odrzuci większością $^{11}/_{20}$ głosujących — Prezydent Rzeczypospolitej zarządzi ogłoszenie ustawy w brzmieniu ustalonem ponowną uchwałą Sejmu".

Paragraf ten jest klasycznym wzorem tego, jak się ustaw pisać nie powinno. Pomijamy odrazu narzucającą się kwestję, co się ma stać w wypadku gdy Sejm odrzuci poprawki Senatu prostą większością głosów mniejszą niż $^{11}/_{20}$, bo na to zapytanie absolutnie nikt odpowiedzieć nie jest w stanie, a konkretnie takiego wypadku jeszcze nie było, aby zanalizować kwestję sporną, co ma się stać w wypadku spornym obecnie, t. j. w wypadku, gdy Senat nie wyznaczając poprawek całą ustawę en bloc odrzuci. Za interpretacją Senatu, t. j. za tem, że wówczas ustawę należy uważać za odrzuconą wydaje się

przemawiać tekst artykułu, który w ustępie drugim odróżnia odrzucenie ustawy od wprowadzenia w niej zmian, w ustępie zaś trzecim reguluje jedynie wypadek, gdy Senat zmiany poczynił. Należałoby więc wnioskować, że poniewa ustawa nie przewiduje co Sejm ma zrobić z ustawą odrzuconą, ustawa ta, jako odrzucona ostatecznie, do Sejmu nie wraca.

Lecz tłumaczenie takie, dopuszczalne w zastosowaniu do ustaw redagowanych przez doświadczonych prawników, którzy obmyślają każde słowo, do naszej ustawy konstytucyjnej zastosować się nie da. W stosunku do naszej ustawy konstytucyjnej interpretacja gramatyczna zbyt często okazywałaby się zawodną i sprzeczną z intencjami jej twórców. Jeżeli zaś dla wykładni art. 35 zechcemy się zwrócić zarówno do historji iej powstania, jak i do jej ducha, to twierdzenie Senatu okaże się nieusprawiedliwione.

Senat polski w jego dzisiejszej postaci jest wytworem kompromisu. Zgodzono się na jego powstanie ale odebrano mu wszelkie istotne kompetencje. Nie jest on instytucją równorzędną z Sejmem. Świadczy o tem przedewszystkiem art. 3 Konstytucji, który w ustępach 2 i 3 głosi, że „nie ma ustawy bez zgody *Sejmu*, wyrażonej w sposób regulaminowo ustalony. Ustawa *uchwalona przez Sejm* zyskuje moc obowiązującą w czasie przez nią samą określonym". Zgoda więc Senatu na uchwalenie ustawy nie jest w tym podstawowym artykule bynajmniej uznana za *conditio sine qua non* na moc obowiązującą ustawy. Świadczy o tej drugorzędnej roli Senatu art. 10, który Senatowi odbiera prawo inicjatywy prawodawczej. Senat nie może też zmusić ministra do ustąpienia, rola Marszałka Sejmu jako zastępcy Prezydenta i przewodniczącego w Zgromadzeniu Narodowem jest dominująca i t. d.

W tych warunkach uznanie, że Senat ma prawo zupełnego odrzucenia ustawy przez Sejm uchwalonej byłoby zrobieniem wyłomu i to zasadniczego w całej konstrukcji ustawy Konstytucyjnej, byłoby nadaniem mu prerogatywy zupełnie równouprawniającej Senat z Sejmem, wbrew wyraźnej woli ustawodawczy, wyrażonej w art. 3 Konstytucji.

Jedynie więc logiczną wykładnią art. 35 Konstytucji jest wykładnia przyjęta przez Sejm. t. j. że odrzucenie ustawy przez Senat jest równoznaczne z wprowadzeniem poprawek do wszystkich artykułów, z czego wynika że ustawa taka ponownie przez Sejm większością $^{11}/_{20}$ głosów uchwalona nabiera mocy obowiązującej.

Pozostaje do rozpoznania metoda załatwienia tego zatargu. Marszałek Trąmpczyński proponuje arbitraż. Jest to oczywiście koncepcja nie do przyjęcia. Konstytucja nasza nie zna ani badania konstytucyjności ustaw, ani tłumaczenia ustawy konstytucyjnej przez czynniki pozasejmowe. Art. 81 wyraźnie zakazuje sądom badania ważności ustaw, należycie ogłoszonych.

Nie do pomyślenia jest ażeby spór, dotyczący kardynalnych podstaw państwowości: rozgraniczenia kompetencji między izbami prawodawczemi miał być rozstrzygany przez najpoważniejszych nawet arbitrów. Tylko i jedynie Sejm może tłumaczyć ustawę konstytucyjną, i interpretacja, którą Sejm nada art. 35 musi być miarodajna i obowiązująca.

cep.

Militaryzacja administracji politycznej.

Cel powoływania generałów na stanowiska wojewodów był od początku więcej niż niejasny. Rząd zasłaniał się jakimś lakonicznym frazesem o konieczności zacieśnienia na terenach objętych akcją bandycką współpracy pomiędzy administracją polityczną i lokalnymi dowódcami wojskowemi. Nonsens takiego stawiania sprawy jest oczywisty. Dlaczegóż bowiem tak pojęta współpraca miałaby dotyczyć tylko środkowego ogniwa łańcucha administracyjnego? Przecież wojewoda i dowódca wojskowy, chociażby to nawet był dowódca okr. korpusu, podlegają swoim ministrom. Współpraca więc pomiędzy niemi wymaga przedewszystkiem współpracy tych ministrów. Dlaczegóż tedy nie powołano na stanowisko ministra spraw wewnętrznych generała? A dalej w dół od wojewody? Przecież starosta będzie musiał również współpracować z różnymi dowódcami wojskowymi, jeśli np. zajdzie potrzeba oczyszczenia administrowanego przezeń terytorjum z bandytów i opryszków. Czemuż więc nie oswobodzono tych stanowisk dla pułkowników?

Nonsens obsadzania generałów na stanowiskach wojewodów zrozumiał rząd, do pewnego przynajmniej stopnia, i oświadczył, że krok ten nie oznacza bynajmniej chęci militaryzowania administracji politycznej, gdyż upatrzeni na to stanowisko generałowie opuszczają szeregi armji i otrzymują wojewodzińskie nominacje jako osoby cywilne.

I to jednak tłómaczenie nie usuwa nonsensu dziwnego postępowania, gdyż co innego jest administracja polityczna, a co innego wojsko.

Generał, chociażby najlepszy, jest ostatnim kandydatem na wojewodę, gdyż po za niezmiernie nielicznemi wyjątkami, nie jest on dostatecznie zorjentowany w zawiłościach polityki wewnętrznej, stosunkach społecznych, narodowościowych i t. d. — natura zaś służby wojskowej, której, by zostać generełem, musiał poświęcić się całkowicie i przez lat dziesiątki, kłóci się najzupełniej z charakterem pracy administracyjno-politycznej.

Jeżeli za przykład wziąć z łaski słabych nerwów p. Hübnera mianowanego wojewodą nowogródzkim gen. Januszajtisa, znajdziemy całkowite potwierdzenie nonsensu okraszania korpusu urzędników administracyjnych szlifami generalskiemi. Od najmłodszych lat wieku młodzieńczego przylgnął on do pracy woj-

skowej, która wkrótce przyoblekła się w realne formy służby legjonowej. Dopóki się bił, czynił to znakomicie. Ile jednak razy dotykał się polityki, dawał dowody zdumiewające niedojrzałości i co gorsze — braku jakichkolwiekbądź kryterjów moralnych. Dlaczegóż więc wyrwano go z wojska, gdzie był na miejscu i posłano na stanowisko, na którem łacno może popaść w nowe nieszczęścia i na państwo nieszczęścia sprowadzić?

Nie dosyć jednak tych wszystkich absurdów. Parę dzienników stołecznych doniosło, że p. minister spraw wewnętrznych łącznie z p. ministrem spraw wojskowych wnieśli na Radę ministrów projekt rozporządzenia w sprawie „dysponowania siłami wojskowemi oraz organizacji pracy *w sztabach* wojewódzkich. Według tego projektu *generał wojewoda* ma prawo zwracania się do dowództwa wojskowego o przydział oddziałów asystencyjnych, nad któremi *obejmuje* w okresie asystencji *komendę*. Zastępcą *wojewody-generała* jest *pierwszy oficer jego sztabu*".

Z powyższego komunikatu wynika niezbicie, iż rząd wprowadza w błąd własnych obywateli. Wbrew bowiem zapowiedziom mamy do czynienia ze zwykłą militaryzacją administracji politycznej. Mamy „generał-wojewodów" z prawem dowodzenia wojskami i wojskowe sztaby w województwach. Nawet zastępcą wojewody jest nie wice-wojewoda, a „pierwszy oficer sztabu generał-wojewody".

P. Hübnera w prezencie temu, kto rozplącze ten węzeł dzikich nonsensów.

Ciekawe komu np. podlegać będą oficerowie sztabu „generał-wojewody"? On sam zależny jest od ministra spraw wewnętrznych. Oficerowie jego sztabu nie są mu wyznaczeni przez tegoż ministra, tylko przez ministra spraw wojskowych i ich stosunek względem armji nie ulega zmianie. Nie mogą więc oni być władzą w stosunku do urzędników lub policji i naodwrót generał-wojewoda i minister spraw wewnętrznych nie są władzą względem nich.

Przerażenie ogarnia na myśl, iż kilkudziesięciu opryszków mogło sterroryzować do tego stopnia rząd, że rzuca się on na wody tak dziwnych, tak bezcelowych, tak zgóry na fiasco skazanych nonsensownych eksperymentów.

W. S.

Marnotrawstwo dobra państwowego.

W lipcu b. r. rozkazem centralnych władz wojskowych oddany został pod opiekę gen. Latinika, dowódcy O. K. Przemyśl materjał mobilizacyjny wojsk łączności 5-ciu Korpusów armji.

P. Latinik, zajęty ciągle polityką i intrygami, nie uważał za stosowne zatroszczyć się o dobro państwowe jego pieczy powierzone, i z całym spokojem umieścił bezcenny materjał techniczny w... stajniach ułańskich w Radymnie. Skutek tej lekkomyślności łatwy jest do przewidzenia. W przeciągu paru miesięcy: kilkadziesiąt tysięcy kilom. kabla angielskiego zar-

dzewiało i w wilgoci straciło izolację, co czyni go już bezużytecznym — strata setek tysięcy złotych; około 5 tysięcy ogniw przeżarła rdza—strata kilkudziesięciu tysięcy złotych; wszystkie aparaty telegraficzne Hughesa i telefoniczne wartości miljonów złotych spleśniały i pokryły się rdzą — doprowadzenie ich do stanu używalności, jeśli jeszcze jest możliwe, pochłonie olbrzymie sumy. Ten sam los spotkał narzędzia i inne precyzyjne aparaty.

Zapytujemy: kto poniesie odpowiedzialność za to marnotrawstwo i kto pokryje poniesione przez państwo straty? i czy p. Minister nie byłby skłonny poddać rewizji wszystkie składy materjału i sprzętu mobilizacyjnego, czy przypadkiem, jak to ma miejsce pod opieką gen. Latinika, nie zamieniły się one w składy demobilu?

„Zabawny szmok...“

Nasz Przegląd w № 270 zamieścił na naczelnem miejscu artykuł p. t. „Morele w sosie P. P. S.“, w którem zarzucał przedstawicielom tej zasłużonej partji, że do goszczącego w Polsce członka angielskiej Partji Pracy nie dopuścili reprezentantów robotników żydowskich.

Nie wchodzimy w meritum sprawy.

Zwracamy tylko uwagę na sposób, w jaki redakcja *Robotnika* zareagowała na ten artykuł. Oto w № 271 tego pisma czytamy dosłownie: „Zabawnemu *szmokowi* z „Naszego Przeglądu“ nie spodobała się wizyta tow. Morela w Polsce i t. d.“

Nie orjentujemy się, o ile w pojęciu redaktora centralnego organu wielkiej i potężnej partji socjalistycznej wyraz „szmok“ zaspakaja potrzebę rzeczowych wyjaśnień i poważnej polemiki. Czy kto jednak lubi lub nie lubi redakcji *Naszego Przeglądu*, musi z całym oburzeniem wystąpić przeciwko tego rodzaju próbom ściągnięcia lewicy polskiej do poziomu endeckiego kołtuństwa z *Dwugroszówki*.

Redakcja *Robotnika* wymaga stanowczo odświeżenia i zeuropeizowania. *w. s.*

Powiadają, że...

Dobrze poinformowani powiadają, że wobec zamierzonej dłuższej podróży p. Ministra spraw wojskowych do Francji, Anglji i Włoch, nie będzie on mógł być obecny w Sejmie podczas dyskusji nad ustawą o organizacji naczelnych władz wojskowych.

Byłoby to z wielką szkodą dla tak poważnego zagadnienia, gdyby minister—autor ustawy, z powodu zajęć służbowych zagranicą, nie mógł osobiście bronić jej wobec Izby.

Z tej też przyczyny apelujemy do p. Prezesa ministrów, aby zwolnił p. Ministra spraw wojskowych z trudów podróży do Londynu i Rzymu, ułatwiając mu wypełnienie obowiązków, oczekujących nań w Warszawie.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty,** kwartalnie **3 złote.** Zagranicą kwartalnie **5 złotych.**
Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288.**

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA“, Moniuszki 11.